W kraju palm i słońca – 10

29 października 2022
Reportaż Artura Gruszeckiego z roku 1890 z emigracji Polaków do Brazylii. Pisownia oryginalna z tamtej epoki.

Caboclos

Po miastach, stacjach kolejowych, częściej na drogach stepowych i leśnych, spotyka się na mułach, rzadziej na koniach, ludzi zaciekawiających swym niezwykłym wyglądem.

Muł biegnie krótkim galopem, strzygąc uszyma, a na nim jeździec, okryty palią w pasy, w kapeluszu wielkim, filcowym, z podniesionym nad czołem rondem, zawsze uzbrojony w długi nóż i pistolety; w ręku bat z surowca z rączką ciężką; siedzi na kulbace przykrytej skórą z włosiem, a w małych strzemionach bose nogi, rzadziej w patynkach, najrzadziej w butach, ale zawsze z ostrogami, czasem tylko z jedną przytwierdzoną rzemykami do bosej nogi. To caboclo, obywatel brazylijski, właściciel zwykle znacznej przestrzeni ziemi, potomek rasy mieszanej, europejsko-indyjskiej. Rysy twarzy zazwyczaj ładne, czasem klasyczne; oczy czarne, niespokojne i podejrzliwe; kolor ciała lekko brunatny; smukły, zwinny, trudni się polowaniem, czasem pasterstwem lub zbieraniem herwa matte, a wyjątkowo kobiety uprawiają grządkę kukurydzy i patatów.

– Gospodarzu, a nie zaprowadzilibyście mnie do kabokla?

Stary, siwy, spod Tarnowa kolonista spojrzał zdziwiony, pokręcił głową:

– I po co panu? Mieszka to w budzie, żyje jak poganin, mówi tylko po brazylijsku, przyjmie to herwą, a posadzi to na ziemi albo kości.

– Jednak…

— Hm… kiedy pan prosi, to cóż robić? Pójdę… ale to kawał, aż pod naszą milią… Matka, daj przyodziewek jaki.

Dowiedziawszy się o co idzie, rzekła:

— Ty, ociec, siedź w domu. Miguelo krzyw na ciebie za muła, coś zajął z milii. Strzelić u takiego nic… pójdę ja z panem.

Idziemy, gospodyni przez grzeczność puszcza mnie przodem. Otóż i mieszkanie kabokla.

— Teraz ja pójdę pierwsza: pana może ustrzelić, a ja znam ich zwyczaje.

Staje dość daleko przed furtką ogrodzenia pierwotnego z poziomo położonych, ściętych drzew, wspartych na wiązadle między drążkami pionowymi, i klaszcze w ręce: jest to sposób anonsowania się przyjęty w całej Brazylii; bez klaskania nikt nie otworzy domu.

Klaszcze powtórnie.

Chata przede mną zbudowana z nieociosanych, łupanych kołków, wbitych w ziemię, przeplatanych w pośrodku jakąś lianą, bez okien, nakryta palmowymi liśćmi.

Wreszcie uchylają się drzwi,i gospodarz w koszuli i hajdawerach krótkich, brunet z brodą, z pistoletem w ręku, pyta:

— Quem e? (Kto tam?)

Poznawszy sąsiadkę, mruknął pozwolenie, a ta, nim przeszła furtkę, wytłumaczyła mu cel mego przybycia.

Uśmiechnął się na mój ukłon, schylił głowę, mówiąc łagodnie i z ładnym gestem:

— Faça favor! (proszę, dosłownie: zrób pan łaskę).

Kobieta przez drogę informuje mnie szybko, półgłosem:

— Dadzą panu papierosa, pal pan; każą cykać, cykaj pan.

Wchodzę do pierwszego przedziału, skręcając od drzwi na lewo. Światła tyle, co ze szczelin w ścianach, na których wiszą surowce, uździenice i kulbaka, srebrem suto nabijana.

Gospodarz z uśmiechem przyjaznym prosi mnie siedzieć. Stołek jest czaszką krowy, nakrytą jakąś derą pomiędzy rogami; sam, wpół leżąc, usiadł na ziemi, przysłonionej dziurawą płachtą.

Moja gospodyni poszła w głąb chaty, rodzajem wąskiego korytarzyka pod prawą ścianą. Za nami, za przepierzeniem z kołków w trzech czwartych całej długości chaty, słychać półgłośne kobiece rozmowy i głosiki dzieci.

— Amancia! — zawołał gospodarz.

Weszła natychmiast kobieta, już niemłoda, z twarzą pomarszczoną; włosy czarne, ledwie nad czołem przyczesane, w kaftaniku brudnym, w kolorowej spódnicy, i nim wychyliła się z narożnika przepierzenia, spytała chrapliwie:

— Que?

Skłoniłem się pani domu, otrzymawszy nawzajem skinienie głową.

— Charutos…

I tuż weszła, skręciła papierosa w liść kukurydziany, zapaliła i podała mi z ukłonem, a drugi mężowi.

Gościnny gospodarz rozmawia ze mną o koniach, siodłach, mułach i polowaniu.

Moją prośbę, aby pozwolił się odfotografować, przyjął chętnie. Poszedł w głąb, po chwili wrócił, a tuż za nim żona, niosąc w ręku dość wielką tykwę, zwaną cuia, w której zaparza się herwę, i jedną rurkę z trzciny, opatrzoną sitkiem tzw. bomba, którą pije się mattę.

Usiadła na drugiej czaszce, pociągnęła napoju i podała mi z

uśmiechem zachęcającym. Cykałem, jak mi radziła gospodyni, i z ukłonem podałem gospodarzowi, który to wdzięcznie przyjął. Już trzy razy obeszła cuia. Z utęsknieniem czekałem uwolnienia. Spostrzegł gospodarz moją niecierpliwość:

— Zaraz wyjdą senhoras (panie); muszą się ubrać.

Wyjaśniłem, że jego wpierw mogę sfotografować.

Poszedł się przebrać w odświętne szaty, w kapeluszu, z faką, nawet w patynkach. Już mam fotografować… zapomniał pistoletów… Po chwili przypomniał sobie, że nie trzyma surowca… Nareszcie skończyłem.

Wyszły senhoras, ubrane we względnie czyste spódnice; jedna z małym dzieckiem na ręku, przystojna, z ostrym, gniewliwym wyrazem twarzy; druga, ładna brunetka, młoda dziewczyna, trzecia sama pani i czworo dzieci.

Pozwolono mi zwiedzić cały dom. Przepierzenie tworzy małą, wewnętrzną izbę zasuwaną, w niej skóry stanowiące łóżka; druga część, tej samej wielkości co i pierwszy przedział, jest kuchnią, z ogniskiem otoczonym kamieniami, nad nim kociołek, na półkach tykwy przepołowione — to talerze; łyżek nie spostrzegłem.

Wyszliśmy.

— Żona jego wcale nie młoda.

— One, panie, wszystkie takie: aby urodziła trzy, cztery bachory — już po niej, bo to nijakiej wygody ani statku.

— A tamte?

Moja przewodniczka spojrzała mi w oczy, ścisnęła ramionami, a poprawiając na głowie kraciastą chustkę, rzekła:

— Taki poganin, czy on ta wie, co córka, co siostra, co obca; żyją z sobą jak psy — kończyła oburzona.

Byłem później u kilku innych kaboklów: to samo ubóstwo, brak śladu kultury, naszej etyki, uspołecznienia…

— Czy kradną?

— Co z chaty, to nic nie ukradnie — odpowiedziała z uznaniem. — Ale co na polu, to podzieli się sprawiedliwie.

Ciąg dalszy nastąpi

Autorstwo: Artur Gruszecki
Źródło drukowane: „W kraju palm i słońca. Wrażenia z podróży”, Księgarnia Wydawnicza J. Czerneckiego w Wieliczce, Kraków
Źródło internetowe: WolneLektury.pl
Licencja: CC BY-SA 4.0